

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Stanisław Przybyszewski

IL REGNO
DOLOROSO

universitas

IL REGNO
DOLOROSO

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Stanisław Przybyszewski

IL REGNO
DOLOROSO

Kraków

© Copyright for *Klasyka Mniej Znana*
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2003

ISBN 97883-242-1136-4
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii
Ewa Gray

WIATYK:

Czary i czarownice!

Widzę kpiący uśmiech: przecież tego nie ma ani nigdy nie było. Wiek dziewiętnasty uprzętnął doszczętnie wszelkie zabobony i gusła, olbrzymie światło oświecenia rozprószyło grubą, gęstą mgłę, jaką mózg ludzi nie tyle średniowiecza, ale więcej może ludzi, których reformacja Lutra doszczętnie ogłupiała, był przez tyle wieków spowity.

Co za potworny przesąd, żeby jakaś kobieta mogła czarować! Te osiem milionów (prawdopodobnie daleko więcej) czarownic, które na stosach spłonęły, to tylko nieszczęśne ofiary niepojętych wierzeń, które – oczywiście Kościół wyhodował – nie wiadomo tylko, w jakim celu.

Przeciwnie: Kościół przez dziesięć wieków usilnie się starał wierzenia te wytepić; wierzenia, które przejął w spuściznie po zamartwym świecie pogańskim – Canon Episcopi, który prawdopodobnie przypada na wiek XI, wyraźnie zakazuje wierzyć pod utratą zbawienia w powietrzne jazdy czarownic z Dianą na czele, zwraca się przeciwko wierzeniom w czary i gusła, zwraca się do duchownych, by w tym sensie lud pouczali, ale ten racjonalistyczny Canon, który by również dobrze mógł i w naszym stuleciu być napisany – taki jest mądry, sprawiedliwy i ludzki – na nic się nie zdał, nawet na odwrót utrwalił ówczesną ludzkość w ich niczym niewzruszalnej wierze, że człowiek (a zwłaszcza kobieta) rozporządza ukrytymi, dla zwykłego śmiertelnika nieznanymi siłami, które pozwalają mu czynić cuda – niestychane dobrodziejstwa, o ile są wywołane świętą i kochającą wolą – szatańskie zbrodnie, jeżeli są kierowane, złą, zazdrosną, zemsty chciwą „imaginacją”.

Były – były i są dotychczas czarownice.

Dziś pozostała tylko ich śmieszna karykatura: groteskowe „sujet”, ślepo uległe swemu hipnotyzerowi, bezwolne narzędzie w rękach jakiegoś partacza, który po jarmarkach albo śmiesznych i oglupiających „séance’ach” swoje mizerne sztuczki z tym często oszukańczym swoim „sujet” pokazuje. Bez swego menagera dzisiejsze nasze medium nic zdziałać nie potrafi, bez tak zwanego „łańcucha” nawet na najzarliwsze żądania żaden stołek się nie podniesie.

Całkiem inaczej „medium” średniowieczne! Uniezależniło się od obcej hipnozy, od „łańcuchów”, przynajmniej widzialnych; to „medium” mogło bez niczyjej pomocy wyłonić swoje „astrosoma” ze swego ciała, nie potrzebowało nawet ku temu ani żadnych maści, ani żadnych przyborów – może to tylko dla początkujących „czarownic” było potrzebne – dla niej starczyła chwila snu, by mogła opanować doszczętnie swoje „astrosoma”, kierować nim według swej woli, wysyłać je na setki mil wokół, aby po powrocie „astrosomy” do ciała wiedzieć, co się w tym ogromnym obrębie dzieje; to medium było w stanie dematerializować przedmioty, a potem je w ciele upatrzonogo osobnika jako „injecta” rematerializować, wywoływać choroby, spustoszenia w organizmie ludzkim i zwierzęcym i sprowadzić powolną a niechybną śmierć.

Czarownica–„medium” żyła ustawicznie na dwóch platformach, fizycznej i astralnej – granica między nimi była tak płynna i niewidoczna, że czarownica nawet sprawy sobie z tego nie zdawała, na jakiej się w danej chwili znajdowała.

I mocą niesłychanego jasnowidztwa, wobec jakiego jasnowidztwo medium z Prévost niemowlęcym przecuciem się wy-daje, poznała czarownica ukrytą duszę roślin, astrosomę rośliny, Leffas, jak ją wielki mag średniowiecza, Paracels, nazywa, wydobywała z jednych najjadowitszą truciznę, z drugich niezawodne środki lecznicze – w ustawicznym zetknięciu z „duszą” wszechświata wiedziała, w jakim świetle odbywa się w nich

przemiana soków, niedawno jeszcze dobroczynna, a o północy może zabójcza – i ona to stworzyła oną astrologiczną botanikę, którą wszystkie „enchiridia” są przepelnione.

Ale nie tylko to:

Czarownica była członkiem – to nie ulega już żadnej wątpliwości – jakiejs po całym świecie porozrzucanej sekty, przechowującej w najgłębszej tajemnicy wszelkie arkana, jakimi rozporządzała swoją drogą każda sekta, wojująca z Kościołem powszechnym. Znała przepotężną magię słowa, tę magię, której rudimentami i Kościół sam się w swoich inwokacjach posługiwał, z tą tylko różnicą, że z słowa, bezmyślnie przez sługi Kościoła paplanego, dawno już dusza uleciała, a w słowach zaklęć czarownicy żyła z równą siłą i potęgą jak w kabalistycznych zaklęciach jakiegoś rabi Meïra, lub w XVI wieku, rabi Luria, który zaklęciami swoimi umarłych z martwych wskrzeszać zdołał.

Wszystkie te zaklęcia czarownic na sabacie to tylko zdeprawowane i pokaleczone imiona złych geniuszów Kabbali, a wszystkie te nieartykułowane wrzaski i okrzyki, Aïe, hun, va, he, ar – to żywcem wzięte z liturgii Mitry, niedawno odnalezionnej, która nas tak samo zdumiewa, jakby zdumiewała, gdyby świat nasz miał się zapaść, liturgia rzymskiego Kościoła po ubiegu jakichś dziesięciu tysięcy lat – naszych potomków.

Wrzaskami, ryczeniem, gwizdaniem, chrapaniem nieładzkiem, kichaniem, spaniem, ba! nawet – wstydliwie uszy niech się zatkną – puszczaniem grzmiących wiatrów chwalono i czczono Mitrę: sabat czarownic przechował nam tę zdumiewającą liturgię w znacznej części.

Ale nie tylko to: w sabatach czarownic odnajdujemy praktyki sekt gnozy: Barborianów, Eutychanów, a przede wszystkim Harpokratów – tak potworne praktyki, że jakiś czas wydawały się zaciekłymi wymysłami Ojców Kościoła, a tymczasem potwierdza je „Pistis Sofia”, niejako „Nowy Testa-

ment” gnostyków samych, i ubolewa nad nimi z najwyższym wstrętem i oburzeniem.

Z Kabbali żydowskiej przedostało się do szatańskiej liturgii sabatu mnóstwo imion najwięcej złych i zbrodniczych „geniuszów”, wzywanych w praktykach czarnej magii, po za tym przekleństwa, jak np. „Havajoth”, wykrzyk upadłych aniołów, którzy z Samiazą na czele przez Boga na ziemię strąceni zostali, bo pokochali ziemskie dziewice – czytajcie niesłychane wizje w księdze Hennoch, z której Dante tak obficie czerpał! – „Emen-Hatan” to okrzyki tessalońskich czarownic – a w ustawicznie powtarzającym się Aie nietrudno dopatrzeć się zepsutego Evohe!

Jednym słowem: liturgia sabatu to synkretystyczne zlanie się wszystkich satanistycznych (po pogańskiej Hekacie oddziedziczył chrześcijański Szatan piersi niewieście, spadające mu aż na brzuch) i phallistycznych obrzędów pogańskich (phallus Szatana odgrywa olbrzymią rolę). W sabacie czarownic żyją, przechowywane z największym pietyzmem – parodystyczne msze Katarów i sekty Vaudois – msze tak potwornie bluźniercze i taką nienawiścią ku Kościołowi dyszące, że wierzyć się nie chce, iżby mózg ludzki tak niesłychane blasfemie zdołał wymyśleć.

Dla badacza porównawczej historii religii, a zwłaszcza sekt, przedstawia sabat czarownic niezmiernie obfite źródło – trzeba tylko umieć z niego czerpać.

Poza tym nie był obcy czarownicy „Tarot” Cyganów, ta najstarsza księga, jaką ludzkość posiada, wypisana na kartach do gry, zawierająca najgłębsze tajemnice, jakie duch ludzki Bogu wydrzeć zdołał, a zarazem potworne, zbrodnicze narzędzie najpodlejszych ludzkich namiętności – czarownica, mocą swego jasnowidztwa, umiała lepiej od Cyganów wyczytać z nich przeszłość i przyszłość ludzką, a bogaty dar, jakim Cyganie Europę obdarzyli – „Solanaceae” wzbogaciły niepomiernie toksykologiczną wiedzę czarownicy.

Ale zbyt się zapędziłem. W tej przedmowie do mej powieści nie mogę oczywiście ani nie mam zamiaru dać monografii czarownicy – a dam ją istotnie niezadługo i to już ściśle rzeczową, a jeżeli o to idzie: naukową – na razie pragnę tylko dać parę słów wyjaśnień.

Do tej powieści, a raczej historycznego dokumentu, stworzyła fantazja autora li tylko ramy.

Opowieść sama to słynny proces czarownic w małej baskijskiej prowincji Labourt, przeprowadzony w 1610 r. przez słynnego De Lancre, którego Michelet uważa za lekkomyślnego clowna nieomal, łatwowiernego, zbrodniczego błazna, okultyści zaś za jedynego daemonologa, który w niejedno był wtajemniczony, z czym się swoją drogą temu, który czytać umie, na niejednej karcie swego „wiekopomnego” dzieła: „De l'inconstance des démons” zdradza.

Proces ten, który cały wiernie w mym dziele wykorzystałem, posłużył mi równocześnie za kanwę, na której mogłem utkać wściekle wzorzysty kobierzec całej daemonologii, poczynszy od jej ojców: Turrecrematy, Alfonsa de Spina, aż het ku tym najuczestszym i najniebezpieczniejszym dla czarownic: do Remigiusza, De Lancre'a, Roberta Fludda, Del Rio, twórcy satanistycznej encyklopedii – wspaniałe dzieło tego niezmiernie uczonego i erudycją zdumiewającego jezuity: „Disquisitiones magicae” gorąco polecam, jak również dzieło krwiożerczego Remigiusza, „De daemonolatria”, pisane zwięzłą, powiedziałoby się ekspresjonistyczną łaciną, godną Tacyta lub Swetoniusza, a już całkiem „moderne” rabulistyką zachwyca „Sadducismus triumphatus” Glanvilla – lekkością i barwnością stylu przypomina dzieło Grillandusa, zwłaszcza tam, gdzie niezmiernie żywo opowiada przygody czarownic, Guy de Maupassanta, a artyzm anegdot, przytaczanych przez Sinistrari d'Ameno w jego „De succubis et incubis”, przyniósłby zaszczyt wytwornemu współczesnemu pisarzowi.

A jak żywo przypomina Prierias zacieklą zapalczywość Huysmansa w jego przedmowie do dzieła Jules Blois'a: „La sorceuerie et la magie noire”!

Ale wśród nich wszystkich dzierży prym De Lancre.

Wysoce wykształcony, doskonały znawca starożytnych pi-sarzy, odbywał podróże w Włoszech, przebywał, jak się zda-je, dłuższy czas w Neapolu, poznał tam słynnego A Porta, wtajemniczony był w mnóstwo praktyk włoskich czarownic, a równocześnie zaznajomił go A Porta z tym, co się dzisiaj „hipnotyzmem” i „suggestią” nazywa, karykaturalnym mał-powaniem tego, co naonczas, praktykowane przez potężnych magnetyzerów, a do takich należały bez wątpienia i czarow-nice, jak to z tysiącnych procesów czarownic wynika, było tak niestychanym i niewiarogodnym środkiem oddziaływa-nia na ludzi, że wierzyć by się nie chciało, gdybyśmy nie po-siadali na początku XIX wieku jak najwiarogodniejszych świadectw magnetyzerskiej działalności hipnotyzerów iście olbrzy-miej mocy, może ostatnich, obdarzonych tak wyjątkową siłą, w pierwszym rzędzie działalności Mesmera, Puy Séyura, któ-remu przypisują odkrycie tak zw. „sommambulizmu”, a przede wszystkim całkiem już wyjątkowego magnetyzera: Du Potet.

W całej mej powieści posługiwałem się, o ile możliwe, ję-zykiem diabolologów, a nie ma tu jednego zdania, którego bym nie mógł poprzeć ich nieraz aż do znudzenia rozwlektymi wywodami. Właściwie jest ta quasi-powieść jak najsumien-niejszą źródłową pracą – jedyna „licentia poetica”, na jaką sobie pozwoliłem, ta jedynie ta, że w proces w Labourt wplot-łem mnóstwo szczegółów z Bodinusa: „De daemonomania”, z wyżej wspomnianego Remigiusza, dalej szczegóły z pierw-szych procesów, przeciw czarownicom jeszcze za czasów prze-śladowań Katarów, kiedy to po raz pierwszy pojawiło się około 1300 r. słowo „sabat”.

A uczyniłem to jedynie dlatego, raz, by dać jak najwierniej-szy całokształt sabatu i wszystkiego, co z nim związane, a na-

stępnie, by rzucić choć odrobinę światła na jego powstanie i rozwój.

Oczywiście korzystałem dużo z pism nowoczesnych okultystów, jak Eliphas Lévy, Stanisław de Guaita, Papus, Jules Blois – samo przez się rozumie, że bez głębszej znajomości okultyzmu „czary i czarownice” pozostaną i nadal potwornym przesądem ciemnego średniowiecza – a przede wszystkim pilnie wczytywałem się w pisma Paracelsa, który widocznie był całkiem wtajemniczony w praktyki czarownic, jak tego dowodzi jego „Paramirum”, a przede wszystkim „Philosophia sagax”, wczytywałem się w IV księgę Corneliusza Agrypy: „De philosophia occulta” – księga ta jest ponoć apokryfem, w co mi się nie bardzo chce wierzyć, natomiast rozumiem, dlaczego Agrypa tak gwałtownie się jej wypierał: zbyt dużo w niej zdradził, by się nie lękać zemsty „wiedzących”.

I nie pogardziłem nowoczesnymi „naukowymi” badaniami w tym kierunku. Snop światła na czary i czarownice rzucają zdumiewające eksperymenty Rochas’a („L’exteriorisation de la sensibilité”) Durville’a („Le phantome vivant”) Dr. Louys („Les faits”) Baraduca i tylu innych – wśród niemieckich uczonych szczególnie pisma barona Łazarza Hellenbacha, Dr. Carl du Prela i Kiesewettera.

Tak więc ta powieść moja jest właściwie tylko – raz jeszcze powtarzam – sumienną, źródłową pracą, a niestety nie mogę się pochwalić tą bajeczną, aczkolwiek wynaturzoną fantazją takiej De la Ralde, szesnastoletniej czarownicy, której wizja Szatana prześciga nawet wizję Danta, gdy kreślił obraz swego: „Principe del Regno Doloroso”.

Gdańsk, lipiec 1923.

I.

Gaston de la Croix wrócił pod wieczór z uciążliwej wędrowki do domu.

Rozejrzał się wokół i roześmiał szydyczko: te cztery odrapane ściany dość obszernego pokoju, zavalone najrozmaitszymi rupieciami, które pani powyżej położonego zamku, ponoć bardzo piękna wdowa po zmarłym markizie d’Espinasse, przysłać raczyła – jemu, który przecież był siostrzeńcem przedstawiciela najwyższego prokuratora w Bordeaux, Wielmożnego Pana De Lancre – własny jego na wpół rozpakowany, obszerny kufer podróżny – jakżeż w tym całym nieładzie zamieszkać, jak się tu zaaklimatyzować i czuć jako tako dobrze, jemu, przyzwyczajonemu do najwykwitniejszych salonów w Bordeaux, a przede wszystkim do zacisznego, a tak wytwornie urządzonego mieszkania, jakie mu wuj jego w lewym skrzydle swego pięknego pałacyku wyznaczył.

Chwilę stał bezradny – rozglądał się dokoła, przyjrzał się bliżej meblom, które podczas jego nieobecności nadeszły, i pocieszył się.

Coś się z tego da jednak urządzić: stół z nadłamanymi nogami da się łatwo naprawić, odrapane ściany pokryje makatami i dywanami perskimi, jakie z sobą przywiózł, ten tam fotel z obiciem, które zdradzało jeszcze dawną świetność, bardzo wygodny, ta na wpół rozbita szafa da się przecież jako tako skleić: świetne w każdym razie pomieszczenie dla jego podręcznej biblioteki, jaką zawsze ze sobą woził – łóżko obszerne i wcale wygodne...

Odetchnął swobodniej.

Zresztą, czym to wszystko wobec tej niepokojem i lękiem bijącej nadziei, że tu będzie mógł odsłonić rąbek tajemnicy, która mu przez tyle lat spokoju nie dawała, sen mu odbierała, a mózg

jego tysiącem nierozwikłanych, przerażających zagadek przemęczała.

Trzeba się rozgościć.

Ale gdzież się podział służący Jean?

Gdzie by go szukać?

Przypomniał sobie, że posiada przecież dzwonek, którym podczas obrad w municypium bordoskim przywoływał niesfornych radców do porządku – poprzewracał wszystkie rzeczy w kuferku, powyrzucił zeń i kosztowne makaty, i ogromny dywan, który – uśmiechnął się zadowolony – tę najgorszą ścianę zakryje, troskliwie powyciągał ogromne folianty i kilkanaście przepysznie oprawionych ksiąg, i wreszcie dobrał się do dzwonka o sporych rozmiarach, otworzył małe okienka, widocznie świeżo naklejone olejem nasiąkniętym papierem, i zaczął gwałtownie dzwonić.

Za chwilę powychylały się z otworów nędznych chałup, przyległych do domu, w którym dano mu mieszkanie, a który pysznił się nazwą ratusza, ciekawe, a zarazem wystraszone głowy młodych i starych kobiet, spoza węglów domostw wynurzyły się zgraja na wpół nagich dzieciaków – poszturchiwało się to i wysuwało naprzód, a potem nagle zniknęło, jakby je wiatr zwał, by na nowo wybiec na plac przed ratuszem w małych, nieprawdopodobnie zwinnych skokach, i znowu nagle zniknąć.

Po chwili wbiegło na mały plac kilku zbrojonych ludzi, zwabionych niezwykle alarmem dzwonka, ludzi, których St. Croix przywiózł z sobą dla swego bezpieczeństwa, a na ich czele zdyszany, wierny sługa Jean.

– Gdzieś był?

– Szukałem pana; tyle godzin na próżno, czekałem... A to szatańskie plemię knuje coś niedobrego – wszystkie drogi zawałone uciekającymi ludźmi – wszystko to gna przed siebie w najbliższym popłochu i przerażeniu, bo już się dowiedzieli, że komisja śledcza z najwyższym prokuratorem na czele znajduje się zaledwie o dwie doby stąd.

– A więc uciekają?

– Jak rozhukana trzoda, przez samego diabła pędzona.

– Widać mają nieczyste sumienie – mruknął St. Croix.

Nie było to dla niego nowiną. Już po drodze zauważył gromadki ludzi, w trwożliwym popłochu kryjących się w wąwozach i rozpadlinach gór, skoro tylko ujrzeli zbliżającą się jego karocę. Uśmiechnął się wtedy dobrotliwie:

...Nie szkodzi. I tak będzie miał wuj jeszcze dość obfite żniwo.

– Szatańskie plemię! – wywodził Jean – jak żyję, nic podobnego nie widziałem... Ni to ludzie, ni małpy; nie chodzą, ale fruują, tu się pokaże, tu zniknie, tam znowu jakby spod ziemi wyrósł, a za chwilę, jakby się w piekło zapadł. Nikogo tu przyłapać nie można, a wejść do jakiejś chałupy, to baby śpią, a śmierzdą tak, że aż źle się robi.

St. Croix uśmiechnął się.

Jean nie wiedział, że wszystkie kobiety w tej zapadłej okolicy palą roślinę petun czy też nikotianę, wdychają w siebie ten smrodliwy dym, odurzają się nim i zapadają w ciężki sen.

I zauważył St. Croix podczas swej długiej przechadzki, że nie było ani jednej choćby najnędnieszkiej lepianki, która by nie miała małego ogródka, w nim zaś nie rosło, troskliwie pielęgnowane, to trujące zielsko.

Mówił mu o tym kiedyś jego wuj, który tu zeszłego roku oczyszczał już tę nieszczęsną prowincję, zapowietrzoną czarownicami.

W tym dymie nikotiany, którym się nieraz i cztery razy na dzień odurzają, szukają zapomnienia o całej tej strasznej nędzy, w jakiej żyją, i dym ten najlepszą jest obroną przeciwko żrącemu uczuciu głodu, i dym ten wprawia je prawdopodobnie w ekstazę, w jakiej z diabłem się łączą.

A musi to być silny i trujący narkotyk, jeżeli oddech tych, co go używają, tak śmierdzi i całe ciało ich tak przenika, że z trudem można w ich pobliżu wytrzymać.

...Nie dziw – zakonkludował St. Croix – że nietrudno tym babom całować bardziej jeszcze smrodliwą rzecz, jaką jest tyłek Szatana. A może nawet ten tyłek mniej cuchnie od nikotiany?

– No! Do roboty! Trzeba tu trochę uporządkować – wygląda tu jak w świńskim chlewie!

– To już musimy sami zrobić – zdecydował Jean – tu z nikim pogadać nie można, bo szwargocą wszyscy jakimś diabelskim językiem, którego żaden chrześcijański człowiek nie rozumie.

A za łeb żadnej dziewczuchy nie uchwycisz, bo żebyś, Bóg wie, jak silnie ją w garści trzymał, to wyslizgnie się, jak wąż.

– Już ją sprawiedliwe ramię przytrzyma – St. Croix uśmiechnął się szyderczo i wkładał troskliwie książki, folianty, manuskrypty i rozmaite astronomiczne przyrządy do szafy.

Z wolna ją do niedawna brudny i obszarpany pokój przybierać całkiem inny wygląd. Makaty i dywany pokryły świetnym bogactwem brud i nędzę; na marnej podłodze, w której dyle tak brud się już wżarł, że przybrała ona barwę skamieniałego drzewa, rozesłał się bogaty kobierzec; duży stół, który chybotął się na wszystkie strony, umocnił Jean listwami, pozbijał go, uszczelnił, a pokryty ogromnym i wzorzystym obrusem flandryjskim, wcale pokaźnie się przedstawiał, i w całej tej nowej świetności odżył i stary, obszerny i wygodny fotel; wypłowiałe barwy jego nabrały nowego blasku i nadspodziewanie wyłoniły się złote esy i floresy na oparciach i siedzeniu.

Po dwugodzinnej pracy wyciągnął się St. Croix wygodnie w fotelu i z zadowoleniem skonstatował, że ostatecznie nie będzie mu tak trudno zapomnieć o zbytkowej pracowni w Bordeaux.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Jean podskoczył ku drzwiom i otworzył.

Na progu ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna w czarnej sutannie. I głęboko się pokłonił:

– Nazwisko moje Ducrot. Jestem kapelanem i spowiednikiem markizy d’Espinasse, pani tych gór i tej morskiej zatoki, i tych nędznych kilkunastu wsi, którym pan miał szczęście podczas dzisiejszej przechadzki bliżej się przypatrzeć.

St. Croix podsunął kapelanowi fotel, ale ten szybko pochwycił obok stojący zydeł, siadł na nim i zmusił St. Croix, by sam zajął fotel.

– Pan musi być bardzo zmęczony po tej długogodzinnej przechadzce, ja zaś potrzebuję zaledwie godziny, by zejść w to piekielne gniazdo czarownic.

– Ale skąd pan wie, żem ja dziś odbywał tak długą przechadzkę?

– Nic łatwiejszego nad to – z wieży zamku można ogarnąć widnokrąg na jakieś pięć godzin wokoło, więc ze zdumieniem

podziwialiśmy – markiza i ja – jak niestrudzenie pan wspinał się po urwiskach, wglądał w szczeliny skał, przystawał przed pieczarami, których ogromne mnóstwo w ciągu tysiąca wieków w tych stromych skałach morze wyzłośliło, widzieliśmy nawet, jak pan w jednej z tych pieczar znikł, ale niezadługo dał jednak spokój tej niebezpiecznej wyprawie. Bo trzeba panu wiedzieć, że podczas przypływu morze gwałtownie się wlewa do tych pieczar, a biada temu, kto się spóźni z ich opuszczeniem.

– Do czego on prowadzi? – pomyślał St. Croix podejrzliwie, przypominając sobie, jak gorąco wuj zalecał mu największą ostrożność w obcowaniu z tubylcami, choćby się najlepszą francuszczyzną posługiwali, a równocześnie przeleciało mu przez głowę, że Lancre, wuj jego, kazał spalić trzech księży, którzy czarne msze odprawiali.

Ducrot zdawał się jego myśli czytać:

– Pan pewnie zdumiony jest moimi odwiedzinami – uśmiechnął się grzecznie – ale przychodzę z polecenia pani markizy, która jest zmuszoną reprezentować tutejszą municypalność...

– Jak to?

– Burmistrz, wraz z swoimi ławnikami, ulotnił się przed paru dniami na wieść, że wuj pana wespół z całym aparatem sądowym znajduje się już na granicy naszej prowincji.

– A więc złe sumienie?

– Któż go tu nie ma? – Ducrot wzruszył ramionami. – Tylko nie każdy ma możliwość ucieczki; inaczej nie znalazłaby tu prześwietna komisja ani jednej rodziny...

– Czyżby?

– Mogę panu zaręczyć, że wśród tych trzydziestu tysięcy rodzin, jaki ten mały kraik Labourt zamieszkują, nie znalazłby pan trzech, które by nie uwielbiały Szatana, jako jedyne go i prawowitego Boga... Zeszłego roku byłem obecny przy procesach, jakie wuj pański tu przeprowadzał – to znaczy byłem tłumaczem, albowiem jedyny w tej okolicy znam język baskijski, równie dobrze jak mój rodowity – francuski...

– A-a! Wiem już – opowiedział mi wuj, że ma bardzo dużo panu do zawdzięczenia, sławił pańską znajomość tutejszego ludu i jego obyczajów.

– Dwadzieścia lat przebywam już na zamku, miałem więc dość sposobności ten cały lud dokładnie poznać.

St. Croix jął się wstydzić swej poprzedniej podejrzliwości i obrzucił bystrym wzrokiem swego gościa.

Mądra, dobroduszna twarz, z którą jednak w dziwnym przeciwieństwie pozostawały wąsko skrojone usta, wokół których raz po raz przebiegał zimny, szyderczy, kpiący uśmiech... Zdziwiły go tylko wielkie czarne oczy, od których ani na chwilę nie mógł się oderwać, a które, jak mu się zdawało, zostały wielkim wysiłkiem woli jakąś mgłą przysłonięte, by ukryć płonący pod nią żar. I znowu uczył w sobie lekki niepokój.

– Tu prawie każda kobieta, wszystko jedno, czy jakaś stara wiedźma, czy młoda i piękna dziewczyna, a bywają tu, i to bardzo często, dziewczęta niezwyklej urody, każda w ogóle powiedzieć można, jest czarownicą w każdym razie o tyle, że każda wyznaje Diabła i jest jego służebnicą. Te też nie są niebezpieczne. Ale strasznie trzeba się mieć na baczności przed starymi wiedźmami. Kto nie rozporządza dostateczną siłą wzroku – Ducrot uśmiechnął się – tak! dostateczną siłą wzroku – (teraz był St. Croix pewien, że Ducrot czyta w jego myślach, jak w książce) – to znaczy nie jest w stanie sparaliżować wzroku czarownicy, ten przepadł. Siła ta nazywa się w języku magów: *repercussio*...

Ducrot spojrział badawczo na St. Croix i na chwilę buchnął z jego osadzonych głęboko oczu ów złowrogi żar, który St. Croix przeczuwał.

– Zresztą pan to musi doskonale znać...

– Ja?

– Przecież pan zna i *De occulta philosophia* Corneliusza Agrypy i *Philosophia sagax* Paracelsa...

– Ja?

Ducrot uśmiechnął się życzliwie.

– Ja wiem, że pan mnie podejrzewa o szpiegostwo – prawda? Nie dziwię się panu, tu nie ma jednego człowieka, który by nie był denuncjantem – ale mnie się pan nie lękaj – grajmy w otwarte karty. Pan posiada czwartą książkę Agrypy; te niesłychane rewelacje, za które sromotną śmiercią odpokutować musiał.